

SOMO-SIERRA

Przez

ANDRZEJA NIEGOLEWSKIEGO

W POZNANIU

NAKŁADEM N. KAMIEŃSKIEGO I SPÓŁKI

1854

Szanowny Kolego.

Wyciąg z Twych pamiętników opisujący batalię pod Somo-Sierra, do uzupełnienia i recenzji przesłany mi na ręce pani B., ucieszył mnie nad wszelkie wyrażenie.

Cóż też nam może być miłszego nad pamiątkę lat młodości w której poświęciliśmy życie nasze na ołtarz ojczyzny? Jeżeli takowe w ofierze za sprawę świętą nie padło, to nie nasza, ale Najwyższego taka wola była! Życie nasze ocalone, tem większą na nas wkłada powinność, by czyny towarzyszków naszych śmiercią bohaterską poległych do potomności bez zmazy przeszły, a historia naszego pokolenia następcom naszym przekazana, świadczyła, że pokolenie nasze, choć mu się nie udało wyswobodzić drogiej matki z niewoli, zawsze się z honorem z powinności na sobie ciążących, wywiązało. Z tego to stanowiska wychodząc, szanowny kolego nie mogłem

2

zcierpieć, aby nam Thiers bitwę pod Somo-Sierra, własność naszą, krwią polską okupioną, wydzierał, a do tego nawet niesławę na oręż polski rzucał. Zrobiłem przeto stosowną w tej mierze do niego reklamacyą. Zwycięztwo jakie odniosłem, zniewalając historyka konsultatu i cesarstwa do przyznania się do fałszu, jest w dzisiejszym mym wieku nowem zwycięstwem choć tylko na papierze, jak była sama szarża w młodości, z tą wprawdzie różnicą, że teraz jedenaście ran nie odebrałem. Poznasz jednakowoż z listów mój kolego, że się ich i teraz nie obawiał, gdyby bowiem Thiers nie był uznał mej reklamacyi za słuszną, byłbym jechał do Paryża i do odszczekania kłamstwa go zmusił. Prawda, że jeszcze zupełnie memu życzeniu zadosyć nie uczynił, lecz raz uzyskawszy przyznanie się jego do fałszu, jeżeli żądaniu memu nie odpowie, całą korespondencyą z nowym listem wydrukuję i celu mego dopnę.

Odpis korespondencyi z Thiersem i jenerałem Krasińskim, którego chciałem jako byłego dowódcę pułku do wystosowania reklamacyi do Thiersa spowodować, od czego go jednak, jak mi napisał, obecne jego stosunki wstrzymały, przesyłam Ci. Może ona jako materiał do Twych pamiętników posłużyć. Chcąc przecież zupełnie życzeniu Twemu zadosyć uczynić, nie poprzestaję na przesłaniu Ci tejże, gdyż ona nie wystarcza ani do uzupełnienia ani do recenzji Twych pamiętników, czego odemnie żądasz. Trudno abym się mógł być wdawać we wszystkie szczegóły pisząc do Francuza, który śmiał nam nawet sam czyn bohaterski wydzierać; szczegóły te nie byłyby go zajęły.

3

Co innego z Tobą mój kolego, Tobie nie mogą one jako Polakowi nietylko być obojętnymi, ale jako historykowi muszą nawet być pożądanymi, zwłaszcza że słusznie utrzymujesz, iż wszystkie do tych czas istniejące opisy są niesprawiedliwe. A z kąd się teraz prawdy dowiedzieć, kiedy z tej małej garstki jednego szwadronu, którego szarżę wykonał, nie wielu sławę którą się okrył, przeżyło — a z tych iluż to jeszcze żyjących, zwłaszcza że i tak z oficerów do końca szarżujących, ja jeden tylko licznymi ranami okryty, jeszcze przy życiu. Któż jeżeli nie ja ma świadczyć o bohaterach Somo-Sierry, któremu nie tylko szarża sama ale dzień batalii, szczególnym dla mnie trafem był to właśnie dzień S. Andrzeja mego patrona, jest mi tak pamiętnym, że każda chwila tak mi jest obecną, jak gdyby to dzisiaj się stało a nie w roku 1808.

Nie chcąc Ci w mym opisie nic oprócz szczerzej prawdy podać, ograniczę ile możności moje opisanie na tem, czego byłem naoczny świadkiem.

W wiliu batalii 29go, szwadron 3ci pułku naszego przeznaczony na służbę do cesarza odprowadził go do Bocequillas, gdzie chasseury i grenadiery przy nim służbę czyniły. Poczem szwadron nasz stanął za wsią Bocequillas a górami Somo-Sierra, na których był rozłożony obóz około 13,000 Hiszpanów, pod dowództwem jenerała don Benito San-Juan (nie Arazagi jak mniemasz).

Przed górami trzymała ostatnią straż naszą, piechota francuzka. Pierwszy i drugi szwadron zaś pułku naszego został na noclegu z resztą gwardyi konnej, za wsią Bocequillas, gdzie była głów na kwatery. Tego dnia to jest

4

29 byłem na sam wieczór wysłany z plutonem w tył głównej kwatery na reconnaissance, z kąd wracając widziałem się z porucznikiem K r u s z e w s k i m z 8mej kompanii, który później w jednej z potyczek pod Dreznem w roku 1813 nogę straciwszy, na rękę moją w Dreźnie umarł. Z nim pomijałem się na konia: dałem mu pięknego wystawnego bułanego kusego, a wziąłem od niego kasztanowatego dońca, dodawszy nawet do tego niepozornego ale dzielnego rumaka, kilkanaście napoleonów, tak jak żebym przeczuwał, że mi wkrótce nie wystawny ale mocny koń będzie potrzebny.

Rano, bardzo rano, 30 listopada, kiedy jeszcze wszyscy oficerowie niebyli powstawali, ujrzałem cesarza konno nadjeżdżającego. Porucznik K r z y ż a n o w s k i jeszcze spał: bardzo trudno mi go było obudzić, oblałem go wodą, lecz i ta ledwo zdołała sen jego twardy przerwać, tak jak gdyby przeczuwał, że to już ostatni sen chwilowy, który wkrótce śmierć bohaterska na wieczny zamieni. Cesarz pojechał w niejakiem oddaleniu na reconnaissance naprzód ku góróm. Powróciwszy zsiadł z konia i usiadł na stołku przy ogniu, którego pod drzewem zapalono. Powiadano mi, że w ten czas, kiedy cesarz przy ogniu siedział, jeden z naszych chevau-legerów przedzierał się w pośród orszaku cesarskiego do ognia, by sobie fajeczkę zapalić, od czego w bliskości stojący jenerałowie go wstrzymywali. Cesarz widząc to, miał powiedzieć: laissez le faire.

Chevau-leger fajeczkę zapalił. Jeden z obecnych oficerów miał mu za to kazać cesarzowi podziękować, na co chevau-leger w przekonaniu, że nie napróżno nasi tak

5

blisko gór Hiszpanami obsadzonemi stanęli, powiedział, co ja tu mu mam dziękować, ja mu tam (wskazując na góry) podziękuję.

Czy cesarz teraz już powziął myśl zdobycia wawozu naszym szwadronem, nie wiem, dość że na dany rozkaz szwadron nasz udał się pod same góry i stanął w kolumnach plutunowych na gościńcu w bliskości przekopu przez Hiszpanów na nim zrobionego, aby tem nie dostępniejszy uczynić wawóz już i tak podług wyobrażeń ludzkich nie zdobyty, a za którym don Benito San-Juan w pozycyi ze wszech innych stron nieprzystępnej z swemi 13,000 Hiszpanów obozował. Dla mgły gęstej, która na krok niczego nie pozwoliła rozpoznać, stanęliśmy prawie przed samemi bateriami hiszpańskimi, które nas też kartaczami przywitały. Nie mogąc jednak Hiszpanie nas rozpoznać, nikogo też z naszych nie ranili. Warczące nad głowami naszymi kartacze spowodowały mnie młodego, że się do kolegów obok mnie stojących odezwałem: ej gdyby cokolwiek byli niżej

wzięli, byliby nas przetrzebili, na co porucznik Runowski powiedział, bądźże cicho, bo nas po głosie mogą poznać. Z pewnością nie spodziewał on się, że za kilka godzin nie jego kartacze w mgłę, ale on ich szukać będzie i śmiercią walecznych poległych, zdobywając armaty, które teraz, nas tylko przywitały.

Wkrótce potem kapitan Dziewanowski powołany do generała Montbrun, przednią strażą dowodzącego, wraca do nas i pyta się na kogo z oficerów kolej służby, gdyż generał kazał wysłać oficera z plutonem na prawo w góry dla powzięcia języka. Naraz dały się słyszeć głosy „kolej na Niegolewskiego.” Byłem

6

najmłodszy oficer i dla tego podług zwyczaju wojskowego słusznie czy niesłusznie wszystko, zwłaszcza kiedy był twardy orzech do zgryzienia, na najmłodszego zwalano. Przekonany przecież będąc, że nie na mnie kolej, gdyż kilka godzin dopiero com był z reconnaissansu wrócił, powiedziałem to kapitanowi, oświadczając mu jednakowoż, że pomimo tego chętnie pójde, jeżeli mi pozwoli wybrać sobie żołnierzy. Dziewanowski zezwolił na me żądanie. Wybrałem sobie chwatów za najdzielniejszych w kompanii znanych. Jakie to zuchy były, każdy sobie łatwo wystawi kto znał pułk nasz, gdzie już żołnierz w żołnierza był chwát z chwatów, czego późniejsza szarża najlepszym dowodem. Żałuję że teraz po upłynionym prawie pół wieku nie mogę wszystkich wymienić. Pamięci mój tylko są obecni: wachmistrz Wasilewski, podoficerowie Sokołowski, Wojciechowski, żołnierze Stefanowicz, Ryndejko, Norwiłło, Kasarek i Poniński z Wielko-Polski, z pod Gniezna.

Z wybranym tym hufcem udałem się w góry, gdzie drogi nie było i tylko gdzieś między skałami ścieżki prowadziły. Po nich to po dwa a najczęściej po jednym koniu przedzierać się trzeba było, a do tego gęsta mgła nie przed sobą rozpoznać nie dozwalała. Nad głowami tylko słychać było gwar ludu, szcęk broni, ale oko nic nie ujrzało. Piękne to położenie patrolu konnego szukającego języka! Rozkaz przecież wykonany być musiał. Nie zważając przeto na położenie tak krytyczne, tylko coraz dalej się przedzierając, nadszedłem nareszcie do wioski, w której kazałem kilku żołnierzom z konia zsiść i o jakąkolwiek żyjącą duszę się postarać. Naprawdę,

7

żołnierze powracają z świadczeniem, że żywego ducha we wsi nie masz. Chcąc nie chcąc szedłem dalej do drugiej i trzeciej wioski. Wszędzie pusto, wszystkie domy pootwierane, wszystkich mieszkańców już ztamtąd piechota francuzka z dywizji Lapissa w swym pochodzie do Sepulweda, gdzie oddziały przedniej straży Hiszpanów stały, wypłoszyła. W jednej tylko z tych wiosek napotkaliśmy na stado indyków. Głodni jak byliśmy, ostrząc języki nasze na ich widok chętniebyśmy się z nimi byli rozprawili i na chwilę o szukaniu języka, gdyby nie położenie nasze, zapomnieli, ale tak musieliśmy się tylko ich widokiem nasycić i dalej ruszać. Przedzierając się coraz dalej, nadszedłem nareszcie do wioski przed którą stała hiszpańska piechota: ilu ich tam było, nie wiem. Byłem ich bowiem tak naszedł, że dla mgły gęstej ani oni mnie ani ja ich prędzej nie mogłem rozpoznać, aż dopiero kiedyśmy o krok przed sobą stanęli. Hiszpanie wystrzelili, lecz nikogo nie raniwszy, do wsi w górach skałami otoczonej wrócili się, dokąd ja ich gonić nie chciałem. Nieświadomemu bowiem pozycji nie pozostawało nic więcej, jak zakomenderować, demi tour à droite i w odwrot się puścić. Unikając wszelkiego boju, wracałem tą samą drogą, którą przyszedłem. W odwrocie spostrzegam, że mi z moich żołnierzy Ponińskiego brakuje. W tem widzę go goniącego mnie, trzymając na karym swym koniu przed sobą Hiszpana z okrzykiem „panie poruczniku, a widzi go pan? szelma Carajo chciał mi uciec, ale go trzymam!”

Nie usłuchał Poniński żołnierz nadzwyczajnej siły i nieustraszonej odwagi, mej komendy do odwrotu, ale

8

wpadł między Hiszpanów, schwycił z nich jednego za kark, wciągnął na swego konia i nie poniosłszy żadnego szwanku przywiózł mi go. Możesz sobie wystawić jenerale mą radość z tak szczęśliwej zdobyczy w tak trudnym położeniu. Hiszpan zaś ze strachu ledwie co oddychając, pada na kolana i woła „Sennor por l'amor de dios ne me mata usted!” Taka to była wojna nasza w Hiszpanii,

gdzie ani my przez represalie ani Hiszpanie jeńcom nie przepuszczali, tylko każdego zabijali, a fanatyzm Hiszpanów posunął ich do okrucieństw podobnych jakich się na nas Murzyni na San-Domingo dopuszczali. Nosy, uszy, języki wyrzynali, co więcej między dwie belki włożywszy jak deski rznęli. Po wszystkich też nieomal drogach w pochodzie naszym do Somo-Sierry napotykalismy wiszących już to Hiszpanów, już to naszych. Tą razą przecież Hiszpan niepotrzebnie się o swe życie obawiał, gdyż mi nie o wyrwany ale o żywy jego język chodziło. Obawiając się przeto żeby mi ze strachu nie umarł, uspakajałem go jak mogłem i prosiłem żołnierzy aby go ugłaskali i otrzyźwili. Groźne ich postawy naraz najłagodniejsze przybrawszy miny, Hiszpanowi, to głaszcząc to mu wódkę w usta lejąc, otuchy dodawały. Szczęśliwie nareszcie z zdobytym językiem do szwadronu wróciłem. Oddaję Hiszpana Dziewanowskiemu z oświadczeniem że Ponińskiemu winien jestem zdobycz, którą sam z szeregów hiszpańskich wyrwał. Kapitan odprowadził jeńca do generała i wrócił z żądaniem abym Hiszpana sam do cesarza zaprowadził. Będąc bardzo zmęczonym i mając do tego popręg który mi był pękł do naprawienia, prosiłem go aby mnie od tego zwolnił. Sam przeto

9

Dziewanowski Hiszpana do generała Montbrun odprowadził którego go przez adjutanta swego cesarzowi oddał.

Zaradny adjutant sam sobie zdobycz języka, jak mi później powiadano, przypisał i za to krzyżem ozdobiony został a o Ponińskim który później w roku 1810 w Arandzie w pojedynku których miał bez liku z Francuzami zginął, ani pomyślano. Najwymowniejszy dowód prawdziwości przez Ciebie przytoczonych słów: haec alter fecit, honores alter tulit. Kiedy Francuz wydał Ponińskiemu wawrzyn przez niego zdobyty, to niechaj pamięć przynajmniej o nim nie zaginie. Nie podobno też abym pisząc o Somo-Sierze o nim nie wspomniał. Jego czyn należy z pewnością do tych, które mogły Vernetą natchnąć, do obrazów wystawiających chevau-legerów polskich.

Mityczna tylko ich odwaga czyniąc ich prawie idealnymi żołnierzami, mogła malarza natchnąć do ucieleśnienia ich ducha pędzłem.

Trzeba też oddać Vernetowi sprawiedliwość, że w obrazach swoich Grand-Garde de Lanciers Polonais i Lanciers Polonais en Cantonnement, w pięknym ciele chevau-legerów piękną ich duszę szczęśliwie oddał; nie dzikość ani brutalne żołdactwo ale przeciwnie łagodność połączona z szlachetną dumą i nieustraszoną mężnością w rysach marsowych, silnych i mocnych, swych żołnierzy wystawiając. Przytem z zamyślanej ich twarzy widać że pojął artysta uczucia

które głąb ich duszy poruszały i do drogi sławy, cudów waleczności dowodząc, prowadziły. Oby cheveau-legery które nie tylko Francuza artystę ale i Polaka natchnęły, który jako gość

10

pod swą ryciną wystawiającą cheveau-legera na koniu, trafny i treściwy wiersz umieścił:

„Po całej prawie ziemi pod obcymi znaki,
Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki”

znalazły i historyka któryby ich czyny historii narodu polskiego przekazał.

Po powrocie moim z reconnaissansu już się oddziały piechoty francuskiej na skały po lewej i prawej stronie wąwozu drapały. Czy marszałek Victor sam oddziały te po lewej a szef sztabu jego Semélé, po prawej stronie zdobytą szpadą pieszo prowadzili, nie wiem, lecz mi się zdaje że tak nie było, gdyżby z pewnością byli Francuzi o tem głosili a ja nigdy tego, ani słyszałem ani czytałem. Zawsze przecież niesłusznie do wyrazu pieszo jak z jego podkreślenia w Twym pamiętniku wnoszę wagę przywiązujesz, inaczej bowiem dostać się jak pieszo nie mogli, o czem się sam przekonałem będąc tam na reconnaissansie. Oddziały te które przeznaczone były aby piechotę hiszpańską po prawej i lewej stronie wąwozu między skałami ustawioną, by z swych zajętych tam stanowisk wąwóz tem niedostępniejszy uczynić, wypłoszyły, musiały tylko z skały na skałę się wdrapywać. Piechota hiszpańska nie zbyt mocno się opierając, cofała się za góry, gdzie obóz don Benito San-Juan znajdował się a do którego Francuzi tylko przez ten później tak sławiony wąwóz dostać się mogli. W tej ich pozycji mieli się Hiszpanie za niezwycięzonych. Junta centralna nawet się z Aranjuez nie ruszywszy, wszystkie siły około Madrytu zgromadzone, tam dotąd wysłała, w przekonaniu że żadna siła bramy tej Madrytu samą swą pozycją silną,

11

skoro nadto dobrze obwarowaną będzie, nie jest w stanie zdobyć. Wszystkie przeto wysilenia francuskie miała Junta i miał don Benito za próżne, w przekonaniu że nigdy cesarz gros swej armii tą drogą nie przeprowadzi a innej drogi do Madrytu, skoro nie chciał iść na Guadaramę kilka marszów na lewo wąwozu, zostawiając po za sobą obóz Hiszpanów, nie było. Na obwarowanie przeto tej tarczy po za którą za niezwycięzonych Hiszpanie się mieli, całą swą uwagę wyteżyli. Wąwóz ten był też, tak jak go istotnie Hiszpanie obwarowali, podług pojęć ludzkich niezdobyty. Pominąwszy bowiem jego cieśninę między wysokościami skalistymi pod górą prowadzącą, pominąwszy że nie tylko po lewej i prawej jego stronie ale i na samym jego szczycie piechotą był najeżony, był wąwóz ten kręty cztery razy (nie trzy jak Ty mniemasz) łamany a w każdym tem zagięciu czterema armatami uzbrojony, tak że nie tylko na szczycie i po obu stronach najeżona piechota ale w ogóle szesnaście armat piętrami ustawione, paszcze swe na nas rozdziawiały przystępu do niego broniły i wszystko też co się na gościńcu pokazało, zmiatały.

Co tutaj zresztą przed wąwozem w czasie mej niebytności zaszło, nie wiem i dla tego o tem co mnie tylko z opowiadań doszło, nie wspominam. Nie mogę jednak tego przepomnieć, co mi później opowiadano, że w czasie tym kawalerya francuska o zdobycie wąwozu się miała kusić, lecz tylko kusić, gdyż rześisty grad kul armatnich który z góry ich ledwie co atak rozpoczynających przywitał, miał im być oraz hasłem do odwrotu. Powtarzam przecież że nie widziawszy tego, prawdziwości faktu nie zaręczam. Zupełnie bez przyczyny jednakowoż wieść ta

12

być nie mogła, kiedy i Górecki w swym znanym wierszu o tem wspomina.

Co się zaś tyczy piechoty francuskiej to ta miała być początkowo do wzięcia wąwozu przeznaczona. Grad przecież kul z góry spadający, który wszystko co się na gościńcu znajdowało zmiatał, musiał przecież wkrótce cesarza przekonać że piechotą wąwozu nie zdobędzie. Morderczy ten z gór ciskany ogień nie pozwolił piechocie francuskiej kusić się o zdobycie wąwozu ale nawet wstrzymał ją od zrównania faszynami wyżej wzmiankowanego przekopu na gościńcu. Jak się bowiem później szarżując przekonałem, przekop dostatecznie nie był zarównany i tylko przeskoczony być musiał: szczęściem że nie był zbyt szeroki. Kto wie bowiem czyby szarża była się mogła udać, gdyby Hiszpanie przekop szerszy byli zrobili.

Tak jak nie wiem co zaszło przed wąwozem w czasie mego reconnaissansu, tak też nie wiem co się działo u mego szwadronu od mego powrotu aż do samej szarży. Oddawszy bowiem Hiszpana Dziekanowskiemu, poszedłem cokolwiek w bok szwadronu aby konia czempredziej rozkulbaczyć i poprę poprawić. Kilku żołnierzy którzy co dopiero z patrolu zemną wrócili mając już to również mniej więcej coś do naprawienia, już też by mi być pomocnymi, udało się za mną. Tu nadmienić muszę że porucznik Krzyżanowski przyjechał do mnie kiedy był konia rozkulbaczył, winszując mi szczęśliwego wypadku reconnaissansu i mówi do mnie: widzisz, cesarz przyjechał, zaraz się wykaże albo pójdziemy naprzód albo cesarz nakaże odwrot, i wrócił do szwadronu. W tem

13

ledwo com konia okulbaczył i poprę poprawił, już spostrzegłem szwadron pod górą kolumną marszową czwórkami pod dowództwem szefa szwadronu Koziedulskiego gościńcem pędzący. W jaki przeto sposób rozkaz szwadronowi do ataku był dany, mianowicie czy cesarz sam jak mówisz przywołał Koziedulskiego i pokazując mu armaty do niego rzekł: „allez avec votre escadron et prenez moi ces canons” nie wiem. Co się tyczy mojej osoby, to jak już nadmieniałem, żadnego rozkazu nie słyszałem. Widząc przecież szwadron mój pędzący pod górą, czempredziej wsiadłem na konia i z żołnierzami którzy się na bok zemną byli udali pospieszyłem by jak najprędzej złączyć się z szwadronem, zwłaszcza że jeszcze nie miałem czasu plutonu mego odebrać. Szwadron dogoniłem kiedy już był wpadł do wąwozu i już był zabrał pierwsze piętro armat i pędził dalej bez najmniejszego zatrzymania się i bez żadnego porządku wojennego, którego dla cieśniny nawet był niepodobnym. Wszyscy pędzili wśród ogromnego ognia tak kartaczowego z przodu jak z lewej i z prawej strony wąwozu i samego jego szczytu, z ręcznej broni przez piechotę na nas w tę cieśninę ciskanego, jeden drugiego przy odgłosie „vive l'empereur” wyprzedzając, by najprędzej na szczyt wąwozu się dostać i na nieprzyjaciela natrzeć. I tak lotem błyskawicy pędząc padł wprawdzie pierwszy, drugi za pierwszym, trzeci za drugim ale następujący nie uważając na poległych i ciągle spadających kolegów, już każde z czterech pięter z jego czterema armatami rąbiąc w pędzie kanonierów, jedno po drugim zdobywał, nie pozwalając żadnej baterii, jak tylko raz wystrzelić. Które też ledwie

14

co były wystrzeliły, już były nasze. Piechota zaś sama na szczycie gór stojąca, atakiem naszym tak natarczywym przestraszona, uciekła. Tak w kilka minut przeszkoda prawie nie do zwyciężenia uchylona, droga cesarzowi i jego armii do Madrytu otwarta i uitorowana.

Wzięcie tej bramy Madrytu, w obóz hiszpański 13tysięczny tuż za wąwozem stojący taki paniczny przestraszyć rzuciło, że już nie myśleli o stawieniu czoła armii cesarza na drodze przez nas uitorowanej, postępującej ale wszyscy jak mogli bez najmniejszego porządku uciekali. I tak wszystkie chorągwie, wszystkie armaty, wszystkie wozy amunicyjne, kasa, jednym słowem cały obóz prawie, bez wszelkiej walki w ręce Francuzów się dostał. Strach tylko zwyciężył Hiszpanów, który ich po przełamaniu tarczy za którą się za niezwyciężonych mieli, przejął.

Wzięcie też tego wąwozu, którym-zasłonięci za niezwyciężonych się mieli, nietylko obóz Hiszpanów oddało w ręce cesarza ale popłoch nie do opisania na cały kraj rzuciło i siłę moralną Hiszpanów która po kapitulacji pod Bajlen Duponda nadzwyczaj się podniosła, tak dalece iż po całym kraju śmiało powstanie podnieśli, naraz w dumnym tym narodzie szarża nasza zniszczyła. Centralna Junta z Aranjuez mająca się za ową tarczę, za bezpieczną teraz dopiero przestraszona, uciekła. Tak to cesarz bez żadnego prawie oporu do Madrytu wszedł. Słusznie przeto Thiers księgę XXXIII opisując kampanią w 1808 r. w Hiszpanii godłem Somo-Sierra uczcił, kiedy wzięcie wąwozu tego przez szwadron nasz nie tylko armią hiszpańską w ręce cesarza oddało ale nawet na los całej kampanii w płynęło.

15

Taka tylko szybkość i nieustraszoneść z jaką chevau-legery szarżę wykonali, mogła cudu tego waleczności dokazać. Wszelkie zatrzymywanie się w ataku byłoby dało czas do powtórnego nabicia armat, któreby i tak naszą małą garstkę były tak przetrzebiły, żeby nas było przybrać do zdobycia pozostałych baterii. Nie jest zatem prawdziwą a tem samem nie historyczną wzmianka Twa o zatrzymywaniu się szwadronu.

Prawda, że dopędzając szwadron a dopędziłem go po zdobytej pierwszej baterii, zastałem kilku żołnierzy między innymi, gdyż mi to bardzo dobrze w pamięci zostało, i Konopkę z 7mej kompanii na kasztanowatym koniu z białą grzywą, skupionych w zagięciu, w którym pierwsze piętro armat ustawione było. W pierwszej chwili ogromnego ognia zatrzymali się oni tam po za szwadronem dalej pędzącym. Widząc mnie obok nich pędzącego galopem na jaki tylko mój doniec mógł się być zdobyć, wołali na mnie „panie poruczniku, panie poruczniku nie jeździj, bo tam bardzo strzelają!” W mgnieniu oka przecież gdy widzieli że nietylko na ich przestrożę nie zważał ale przeciwnie rzuciwszy im kilka ostrych słów z wykrzykiem „en avant vive l'empereur” w jednej chwili już się złączyli ze szwadronem. Może to była ta chwila w której podług Twych pamiętników szwadron się miał zatrzymać i która może nie jednemu z przypatrujących się dała powód do mniemania tak rozpowszechnionego że szwadron się zatrzymał, co że być nie mogło sam z pewnością, teraz przyznasz.

Raz przecież przypuściwszy zatrzymanie się szwadronu w szarży, uznałeś za najstosowniejsze przypuścić

16

takowe w chwili, kiedy pod Koziedulskim konia ubito. Chcąc przeto porządek w szarży wprowadzić, powiadasz że po nim Dziewanowski komendę objął i z szwadronem zatrzymanym atak ponowił. Prawda że Koziedulskiemu na początku szarży konia ubito i że tenże w skutek tego z szeregu nacierających nie mogąc szwadronu pieszo gonić cofnął się. Prawda że komenda ze starszeństwa Dziewanowskiemu przypadła. Nieprawdziwym przecież jest żeby się szwadron po ustąpieniu Koziedulskiego miał w szarży zatrzymać, dla tego też niestosownem o obejmowaniu komendy wspominać. Wspominanie nawet o podobnej formalności w opisie szarży somo-sierskiej, rzecz samą w nieprawdziwym świetle wystawia. Pominąwszy bowiem że o zatrzymywaniu mowy być nie może, mogłoby się z Twego opisu zdawać że w czasie szarży był do formalnego obejmowania komendy czas, kiedy ta lotem błyskawicy wykonaną została. Szwadron raz puściwszy się pod górę przy odgłosie: enavant, vive l'empereur, innej komendy nie słyszał i nie potrzebował. Wszyscy tam bowiem, kapitan, porucznik, żołnierz jednym zapalem zagrani, jeden i ten sam odgłos wydając, jednym pędem nie zważając ani na cofnięcie się Koziedulskiego ani też na poległych i ciągle padających oficerów, kolegów, wąwóz zdobyli i w pędzie samym armaty zdobywając, kanonierów nie zatrzymując się, rąbali. Nie chcę ja tu bynajmniej zmniejszać sławy którą się okrył Dziewanowski. Z pewnością jeżeliby kto chciał udział w szarży dzielić: jemu największy udział przypada ale nie w skutek komendy którą atak z zatrzymanym szwadronem miał ponowić, tylko

17

w skutek stanowiska jakie w szwadronie zajmował, nie ustępując nadto z hufca mimo ran odebranych aż dopóki siły mu tylko starczyły, i ciężko ranny nie padł, porwał za sobą szwadron który do niego jak do ojca był przywiązany. Równie nie w prawdziwym świetle wystawiasz szarżę, kiedy zbyt szczegółowo starasz się opisać porządek w jakim wykonana została, jak n. p. kiedy o szlosowaniu wspominasz. Raz szarżę rozpoczętą ten szlosował którego koń do tego zagnął. Najlepszym tego dowodem że ja, pomimo że już po rozpoczęciu szarży do wąwozu przypadł, wkrótce nietylko nie byłem ostatni ale prawie do pierwszych zapędziłem. Dobrze sobie przypominam porucznika Rowickiego który już obok mnie pędząc wołał: „Niegolewski trzymaj mi konia bo mi się zbiegał, nie mogę go wstrzymać!” na co mu odkrzyknąłem „puszczaj go.” Już też młody ten oficer z nikim więcej nie mówił bo zaraz potem ujrzałem go spadającego z konia. Był to drugi z moich kolegów, któremu zabitego widział. Między pierwszą a drugą baterią widziałem leżącego Krzyżanowskiego o którym wyżej wspominałem.

Porucznika Rudowskiego, którego również zginął, w czasie szarży ani żywego ani poległego nie zoczyłem. Kapitana Dziewanowskiego, którego nogę miał od armatniej kuli zgruchotaną, jeszcze widziałem aż u trzeciego piętra po lewej stronie wąwozu. Kapitan Piotr Krasinski był rażony ciężką kontuzją w piersi ale bez rany i żebra mu (jak mylnie powiadano) nie wyjęto. Kiedy został do ustąpienia z szeregów zniewolony, nie wiem. Z wszystkich oficerów szwadronu, którzy tę szarżę czwartego

18

piętra wykonali, ja jeden nie odniósłem na mem ciele żadnego szwanku, ale mój koń, mój mundur, ładownica, czapka wszystko to ucierpiało od kul karabinowych świszczących na wszystkie strony. Jak po ustąpieniu szefa Koziedulskiego, tak i teraz lubo Dziewanowski leżał zwalony z konia, przecież resztki szwadronu nie zatrzymały się ale tym samym pędem zdobyły i czwartą baterię. Za tą już otwierał się niejaki przestwór między górami. Na widok koło budynku zebranej piechoty hiszpańskiej w kupce,

po lewej stronie gościńca, wstrzymałem konia w miejscu. Dotąd bowiem nie zatrzymując się ni nie oglądając się wpadłem do wąwozu, pędziłem z okrzykiem *en avant, vive l'empereur* wśród gradu kul. Postrzegłszy tu przy sobie kilku *cheval-legerów* a za sobą wachmistrza Sokołowskiego na kulawym koniu, zawołałem: „gdzie nasi?” Sokołowski odparł: „poginęli!” Wielu legło istotnie, drudzy konie potracili, inni zostali w tyle, inni jeszcze pędząc z góry rozpiechali się na prawo i na lewo, gdyż już, jak powiedziałem, był taki przestwór między górami. Piechota hiszpańska z boku ciągle nas razila, przy owej zaś baterii czwartej, po za nami stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów. Krzyknąłem: „Sokołowski uderzmy na nich” i uderzyliśmy z tą garstką. Hiszpanie uciekli, a biedny Sokołowski powiększył swą śmiercią liczbę poległych w tym boju kolegów. Nie widziałem koło siebie i owych kilku *cheval-legerów*. W tem koń krwią pluzący padł podemną od strzału działowego, w oka mgnieniu kilku Hiszpanów uciekających nawróciło a dwóch z karabinów mi do głowy przyłożonych dało

19

ognia. Kule atoli opieką nademną Wszechmocnej Opatrzności, ograniczyły się na zadaniu mi tylko ran ciężkich. Rzadko komu tak z bliska śmierć zaglądała w oczy. Widziałem karabiny na głowie, słyszałem obadwa strzały, poczułem mdlenie, ale jednak rozumiałem Hiszpanów wołających *à la dretsha à la dretsha, arriva arriva* (na prawo na prawo, na góry na góry). W tej chwili dziewięć razy pchnięto mnie bagnetem, obrano z pieniędzy a konia zostawiono na mnie. Razy bagnetów ocknęły mnie w bólu i sprawiły żem się poczuł przy życiu i wrócił do zupełnej przytomności umysłu. Otoczony Hiszpanami, w obawie by mnie u nich los zwyczajny jeńców to jest śmierć w mękach nie spotkała, nawet odetchnąć nie śmiałem. Wkrótce słyszeć się dały coraz głośniejsze bębny i okrzyki *en avant, vive l'empereur* i naraz ujrzałem naszych i *chasseurów* francuzkich.

Twój opis trzeba mi tu o tyle sprostować, że drugie szwadrony *cheval-legerów* nie zaraz po owym trzecim i walecznie już poległym następowały; w takim bowiem razie z kądże wspólnie ze Sokołowskim i kilku tylko naszego pułku żołnierzami byłbym mógł być przyjść do ucierania się z kanonierami. I gdyby owe szwadrony już były nadeszły toć owi dwaj Hiszpanie, co mi karabiny do głowy przyłożyli, byłiby już siedzieli między górami ale nie na gołaźni zostali. Widoczna że drugie szwadrony naszego pułku dopiero po wzięciu przez nas wąwozu, były za nami wysłane. Uwaga ta zdaje się tu potrzebną dla tego, że chodzi aby czyn jednego szwadronu nie był mylnie kilku przypisywanym, bo w tedy bezprzykładna waleczność garstki, zeszlaby tylko na spełnienie zwykłego

20

obowiązku przez pewną dostateczną liczbę wojska. Historycy u których opisy boju na Somo-Sierry czytałem, wyjąwszy Twych pamiętników, wystawiają, że kilka szwadronów wąwóz zdobyły a Thiers nawet śmiał ten trzeci szwadron, który to zwycięstwo tak drogo krwią opłacił, nazwawszy go pierwszym, posadzić o rozprężenie i odwrót bez rozkazu a więc poniekąd o ucieczkę. Chcąc z nim krótki proces zrobić, zażądałem od niego aby mi kogokolwiek z innego jak naszego szwadronu, rannego lub zabitego w zdobywaniu wąwozu wymienił. Ty mówisz wprawdzie że jeden nasz 3ci szwadron wąwóz wziął, dodając przecie, że zaraz za nami wasze szwadrony postępowały: łatwobyś więc mógł czytelników w błędzie rozpowszechnionym utwierdzić. Nie chcę ja tu bynajmniej, jak się samo przez się rozumie, innym szwadronom waleczności odmawiać, gdyż przeciw nie jestem przekonany, że każdy inny szwadron pułku naszego, tym samym duchem co my na Sierry zapędzony, byłby się równie dzielnie jak nasz popisał. Że zaś istotnie już po zdobyciu wąwozu inne szwadrony za nami postępowały, najlepszym i to dowodem, że na wąwozie samym nikt z tych szwadronów ani zabitym ani rannym nie był. Powiadano mi zaś później że Jeziołkowski żołnierz z 1go szwadronu, po wzięciu przez szwadron nasz wąwozu, w pogoni ze swym szwadronem a za uciekającymi Hiszpanami, napotkawszy rozbitą kasę hiszpańską, która jak powiedziałem w ręce się naszej armii dostała, uznał pistolety już za zbytczne, wyrzucił je z olster a miejsce ich zapełnił unsami złotymi hiszpańskimi za które w kraju dobra sobie kupił. Skoro nasze szwadrony, które wszystkie

21

wojsko francuzkie poprzedziły, nie miały z kim walczyć, tylko uciekających goniły, to tem mniej miały do tego sposobność wszelkie inne oddziały wojska francuzkiego. Zwracam Ci w tem miejscu uwagę na chwilę w której mnie ostatecznie poraniono. Przypuszczając błędnie jakieś zatrzymywanie się szwadronu w szarży i wystawiając, że po naszym szwadronie zaraz inne naszego pułku nacierały, nie możesz sobie wytłómaczyć z kąd u mnie rany bagnetami. Korzystasz przeto z twych przypuszczeń i pokłucie moje umieszczasz w chwili jakiegoś zwolnienia i zatrzymywania się w szarży, kiedy przeciwnie takowe już ku końcowi szarży przy zdobywaniu ostatniej baterii nastąpiło. Prawda, że wszystko to stało się w jednej chwili, nigdy jednakże przypuszczać nie można aby szwadrony wasze a tem mniej Francuzi którzy dopiero za nimi wąwozem postępowali jakiś, by najmniejszy udział w tem uderzeniu byli mieli.

Po tej wycieczce recenzyjnej wracam na pobojuwisko. Widząc jak już powiedziałem pędzących naszych i *chasseurów* francuzkich, chciałem głowę podnieść lecz nie mogłem. Oddech przecież mając wolny, miałem nadzieję, że godzina moja jeszcze nie wybiła, zacząłem wołać, żem nie zabity a będąc do tego obdartym, wiedząc że na porucznika tyle nie zważano ile na kapitana, wołałem żem kapitan i prosiłem żeby się zmiłowali i konia ze mnie, który mnie gniótł, ściągnęli. Nie musieli nasi słabego głosu mego dosłyszeć, nie zatrzymawszy się bowiem, wraz z *chasseurami* przelecieli. Tuż nadeszły za nimi wołyżery francuzkie przy odgłosie mi pamiętnym „*allons, cela ira hien camerades.*” Ci dopiero konia ze mnie ściągnęli

22

i na mą prośbę pod czwartą baterią mię zanieśli i płaszczami nakryli. Dwóch nadeszłych chirurgów rany mi opatrzyło, lecz niedługo po ich opatrzeniu krew z ran w głowie pod bandażami mocno płynąć zaczęła. Kilkunastu żołnierzy, którzy konie swe potracili, zebrało się około mnie. W tem nadjechał marszałek Bessieres, któremu byłem od czasu obozu naszego pod St. Maria osobiście znany. Na zapytanie: kto tam leży, powiedzieli mu żołnierze: porucznik Niegolewski. Marszałek zsiadł z konia, przybliżył się do mnie i rzekł: „*jeune homme, l'empereur a vu la belle charge des chevaux-legers, il saura apprecier votre bravoure,*” na co ja mu, w skazując na armaty przy których leżałem: „*Monseigneur je me meurs, voilà les canons que j'ai enlevé, dites cela à l'empereur.*”

Wkrótce nadjechał cesarz i krzyżem legii honorowej mnie zaszczycił. Pierwszy to był krzyż, który się pułkowi naszemu był dostał. Ja najmłodszy oficer pierwszym go jako *cheval-leger* zdobył, a do tego zdobyłem go sobie w dzień moich imienin. Pierwszy to raz było, żem od ojca nie dostał wiazarka na imieniny, ale za to dostałem go z rąk cesarza, za krew dla ojczyzny w

dniu imienin przelaną i jeszcze płynącą. Bodaj kto inny mógł w dniu imienin piękniejszy wiązarek dostać. Jakież to uczucie serce młode unoszące.

Bandaże, którem i już po drugi raz rany były opatrzone, nie zdołały krwi biegu zatrzymać i już mnie zaczęły zmysły odchodzić. W tem nadszedł do mnie porucznik od grenadierów gwardyi Villeneuve z którym się w czasie mej z nim wspólnej służby przy cesarzu w Marrac pod Bayonną, bardzo zaprzyjaźniłem; dobył

23

manierki i nalał w usta araku, mówiąc: „pauvre diable te voila..... tu ne feras plus tes farces,” słyszałem i rozumiałem co mówił, ale już nie mógł odpowiedzieć.

Dziwny los przeznaczenia, Villeneuve już miał mnie za zabitego, ja tym czasem zdrow żyję, a on bez boju, w strzelaniu odwracających się i uciekających Hiszpanów tego samego dnia zginął.

Jakim sposobem czaszka moja nie zgruchotana, jakim sposobem bagnety w mem ciele utopione, z niego życia nie wypędziły, nie pojmuję; w Styxie mnie przecież nie kąpano.

Wkrótce po nalanym mi w usta araku, którym mnie cokolwiek Villeneuve otrzeźwił, nadeszła karetą naszego pułkownika Wincentego Krasieńskiego i do Buytrago mnie zawiozła, gdzie już zastał Dziewanowskiego ambulansem gwardyi przywiezionego.

Tak oficerowie co udział w szarży tej mieli jak Krzyżanowski, Rudowski, Rowicki zabici, Dziewanowski i ja licznymi ranami okryci, Piotr kapitan Krasieński zkontuzjonowany, a w ogóle poległa większa połowa, jakkolwiek urzędowy bulletin francuzki podaje tylko dwóch rannych oficerów i jakąś małą liczbę szeregowych zabitych.

Zadziwiającem wtedy było to, że wachmistrz Wasilewski który przy rozpoczęciu szarży na czele szwadronu w pierwszej czwórce jechał, wyszedł nie tknięty, a koniowi jego tylko trzy przednie zęby wyrwał kartacz. Skoro więc uważano za jakiś cud że jeden żołnierz uszedł rany, to się pokazuje, co sędzić o rzetelności ówczesnych bulletinów.

24

Co się tyczy oficerów to więcej do szeregu szarżujących jak podałem, nie należało. Obstałem przy tem com do Thiersa napisał, a tym czasem prostuję Twoją wzmiankę o Szeptyckim i Zielonce. Ostatni do szarży należał, lecz jeszcze nie jako oficer. Gdyby bowiem już był wtenczas oficerem, byłbym go, będąc w tym samym szwadronie, musiał znać, a jam go dopiero później poznał. Dobrze sobie także przypominam, że w wiliu szarży wszyscy oficerowie szwadronu jedli razem polewkę migdałową, którą Krzyżanowski na kolacyę ugotował; Zielonki przecież między nimi nie było. Szeptycki zaś który był wprawdzie porucznikiem w naszym szwadronie, był właśnie ile sobie przypominam i o czem Ty wspominasz, w czasie szarży do marszałka Bessiers odkomenderowany.

Iluż to Francuzów nie szczyciło się, że jako ochotnicy z nami szarżowali. Co o tem sądzić, nie wiem, ale to wiem, że ani jednego nie widział. Najwięcej jeżeli Ségur historyk opisujący kampanię 1812 roku do szarżujących się przyczepił.

Mniejsza zresztą o pojedyncze nazwiska, zwłaszcza kiedy nie mogę każdego z osobna żołnierza 3go szwadronu po upłynionym już prawie pół wieku wymienić. Oprócz bowiem szefa szwadronu Koziedulskiego, śmiertelnie rannego kapitana Dziewanowskiego i ciężko zkontuzjonowanego kapitana Piotra Krasieńskiego, poległych oficerów Krzyżanowskiego, Rudowskiego, Rowickiego, wachmistrza Sokołowskiego, podoficera Wasilewskiego i żołnierzy Ryndejki, Stefanowicza, Norwiłły, Kasarka, Ponińskiego

25

przypominam sobie jeszcze tylko wachmistrza Wojciechowskiego i Tedwena. Nie mogąc przeto każdemu z osobna, wymieniając jego nazwisko, zci należnej oddać, zdaje mi się być stósownem zwrócić uwagę na historię przed somosierrską tego teraz tak sławnego szwadronu, aby okazać, że to nie starzy wyćwiczeni żołnierze, ale młodzi po pierwszy raz w ogniu będący Polacy, szarżę tę wykonali.

Szwadron nasz, po uformowaniu go w Warszawie, wyruszył wprost zamtąd pod komendą kapitana Dziewanowskiego do Francyi. W czasie naszego pochodu bardzo mało ogarnął jeszcze duch wojskowy nasz szwadron kiedy oficerowie do żołnierzy jeszcze nie inaczej jak przez waspan przemawiali. Szwadron nasz bowiem składał się po większej części z żołnierzy wykształconych z domów wysokich i bogatych. Taki jego skład wpływał w ogóle na pewne względne obchodzenie się oficerów z żołnierzami. Dopiero od Moguncyi ustało tytułowanie żołnierzy waspanem.

W mieście tem bowiem kazał mi kapitan Dziewanowski iść po szwadron na fortecę, który tamże w koszarach stał i takowy za miasto wyprowadzić, gdzie się z nim wraz z drugimi oficerami miał złączyć. W skutek tego poszedłem do fortecy i rozkazałem szwadronowi, aby się czem prędzej przygotował, kazałem trąbić na koń. Kiedy już prawie cały szwadron na koniu siedział, kilku cheveu-legerów pomiędzy nimi Nidermayer i Sorobabel, którzy sobie byli podpiłi, bardzo długo się guzdrali i nie siadali na koń; wpadłem na nich nie tytułując ich waspanem, wołając siadaj na koń, o co się

26

nadzwyczajnie mianowicie Nidermayer gniewali, szemrząc, że nie pojmują jak można do nich przez ty przemawiać. Natychmiast więc wskutek tego kazałem Nidermayerowi z konia zsiść i pieszo przed trębaczami maszerować. Przeprowadziwszy szwadron przez miasto złączyli się kapitan i oficerowie z szwadronem i mną. Zdałem mu raport (kapitanowi) i opowiedziałem mu zajście moje, w czem mi słuszość przyznał. Poczem idąc chausseą nad Renem, Nidermayer pijany z oburzeniem na obchodzenie się z nim, szemrał. Idąc obraca się raz po raz, powiada że lepiej w Ren wskoczyć, jak tak być traktowanym, odgrazając się nareszcie że wskoczy w Ren, na co ja mu: a to sobie wskocz, a gdy mu na kilkakrotne jego zapytanie „a każe pan porucznik” powiedział: za kark cię trzymać nie będę, nie namyślając się zrzucił kulbakę i w Ren skoczył. Co widząc żałując żołnierza, zwłaszcza że był pijany, umiając dobrze pływać, zrzuciwszy czapkę i odpasawszy czem prędzej pałasz, wskoczyłem za nim i na trawę, dokąd inni żołnierze mi do pomocy przyszli, wyciągnąłem go. Od tego to czasu ustało waspanowanie żołnierzy i wszyscy oficerowie przez ty do nich przemawiali. Po przyjsciu naszym do Francyi udaliśmy się do Chantilly. Ztąd po kilku miesięcznym pobycie wysłano nas do Bayonny, aby tamże przy cesarzu służbę pełnić, dokąd tenże miał przybyć. Po swem tam przybyciu kupił cesarz wilię Marrac pod Bayonną, gdzie upiększywszy ogród pracą żołnierzy gwardyi

których miał przy sobie, założył główną kwaterę. Pod Marrac i nas wysłano z Bayonny. O ćwierć mili od domu głównej kwatery szwadron nasz stał obozem, zkąd

27

co dzień jeden pluton na służbę pałacową był komenderowany. Cesarz kazał nam po raz pierwszy wystąpić w paradzie na przegląd, pour nous passer en revue. Szwadron stanął w ogrodzie en bataille. Kilka chwil potem przyszedł cesarz przyodziały w mundur grenadierów pieszych gwardyi w trzewikach i w pończochach na czele orszaku z wielu jenerałów a między innymi i jenerała Du Rosnel konjuszego. Major Delaitre Francuz był naszego szwadronu dowódcą. Chcąc się przed cesarzem popisać, zakomenderował swym bardzo słabym głosem jakiś zwrot. My mało znając komendy, jeszcze francuzkiej i nie dosłyszawszy komenderującego, obróciliśmy się jedni w lewo drudzy w prawo i okazała się wielka mieszanina. Cesarz splunął ale bez okazania gniewu a potem rzekłszy: „ces jeunes gens ne savent rien,” przywołał Du Rosnela, i oddał mu nas na naukę mustry by od samego początku szkołę kawaleryi z nami zaczął. Du Rosnel przywiązawszy się wkrótce do nas, z wielką gorliwością prawie podoficera wywiązał się ze swego obowiązku. Z każdym niemal żołnierzem z osobna zaczynał jak konia kulbaczyć, jak się pojedyncze przybory po francuzku nazywają. W kilka tygodni po owej sławnie odbytej rewii, daliśmy jednak cesarzowi sposobność powzięcia lepszego mniemania o nas, a miło mi sobie przypominać żem ja się do tego przyczynił. Rzecz ma się w ten sposób: w kilka dni po sprowadzeniu do Bayonny Ferdynanda VII, wybuchł tam w dwóch miejscach ogień. Rozeszła się zaraz wieść, że podłożony na sygnał Hiszpanom aby pod Bayonną wpadli na Marrac gdzie tylko prócz naszego szwadronu półtory kompanii gwardyi pieszej było,

28

cesarza zabili i Ferdynanda VII uwięzili. Byłem wtedy na służbie z plutonem i miałem w karczmie naprzeciw pałacu ludzi moich. Na rozkaz, stanąłem przed pałacem, nawet bez trębacza, któremu się nie mógł być dobudzić. Cesarz z perronu domu oświeconego laterniami gęstemi odzywa się do grenadierów i chasseurów pieszych, którzy jeszcze z swych namiotów na trawniku przed pałacem nie byli wyszli, „allons vielles moustaches, vous êtes encore sous vos tentes, tandis que ces jeunes gens, qui n’ont pas encore de poil au menton, sont déjà à cheval,” przybliżył się do mnie i pyta „avez-vous des cartouches?” na co ja mu „non Sire.” Cóż nam po nich było, kiedy nasze karabinki jeszcze innych skałek jak drewniane nie widziały. Na dalsze jego zapytanie „avec qoi me defendrez vous, si je suis attaque?” odpowiedziałem: „Sire nous avons des sabres.” Wtedy cesarz „c’est bon” i pewnie przypomniawszy sobie naszą rewię miał zamiar przekonać się czy już lepiej zwroty wykonywamy i tak jak gdyby mnie był chciał w ambaras wprowadzić, stanąwszy tuż przed samym plutonem odzywa się do mnie „faites ouvrir vos rangs.” Nie mogłem kazać otworzyć szeregów zwyczajnym sposobem boby był musiał z miejsca spędzić lub wyrzucić cesarza, zakomenderowałem więc: en arriere, ouvrez vos rangs. Po czym cesarz przeszedłszy szeregi, kazał je zamknąć i do pałacu wrócił. Przeszło godzinę z grenadierami i pieszymi chasseurami z których każdego tylko po pół kompanii było, stałem przed pałacem i dopiero gdy się przekonano, że ogień był przypadkowy, kazano nam wrócić na swe stanowisko. W godzinę potem przyniosła mi służba cesarska

29

kilka kszów wina i rozmaitego mięsiwa oświadczając „l’empereur vous envoie de qoi vous raffraichir,” a przyniesiono nam tego wszystkiego tyle, że gdy sami nie bylibyśmy mogli wszystkiemu poradzić, posłałem do obozu, do Dziewanowskiego żeby z kolegami na śniadanie przychodził.

Służba pałacowa w Marrac dawała nam w ogóle sposobność poznania cesarza, i u każdego nie jedno miłe wspomnienie zostawiła. Byliśmy tam nietylko naocznymi świadkami ważnych i stanowczych wypadków, aleśmy też mieli sposobność poznać cesarza w chwilach jego zabaw i rozrywek. Wyjeżdżaliśmy, mając służbę z plutonem jako straż przyboczna na przejażdżki kilku milowe za pojazdem cesarza, w którym prawie zawsze i cesarzowa Józefina była. Nie raz tam ten władca świata figlami prawdziwie młodzika, umysł swej rozweselał. Tak n. p. przypominam sobie że raz w odnogę morską zwaną Chambre d’amour wepchnął cesarzową, a gdy się zmaczała i trzewiki pogubiła, wziął je i wyrzucił. Chciałem je podnieść i cesarzowej oddać, ale cesarz mi zakazał a ją tylko z pończochami na nogach, do karety wsadził.

Inną razą cesarz z cesarzową zwiedzając fort Chatteauvieux nazwany, przeszedł przez płot, przez który i cesarzowa idąc za nim, zachaczyła sobie w cierniu suknią z lekiej bardzo materyi. Że zaś z obowiązku mego postępowałem pieszo z kilku żołnierzami za nimi, chciałem cesarzową ze zachaczenia wydobyć ale jej suknią bardziej w ciernie płątałem i prawie całą podarłem. Moja ta niezgrabność bardzo mnie zmieszała, ale cesarz z cesarzową śmiali się i żartowali ze mnie.

30

Z Marrac puściliśmy się po pierwszy raz na linią bojową do Hiszpanii. Tu w pochodzie naszym do Somo-Sierry, mieliśmy sposobność przekonania się, że nie tylko z wojskiem regularnym ale z całym krajem w jeden obóz obrócony mamy do walczenia. Wszędzie po drzewach, nad drogami wiszący Hiszpanie i Francuzi świadczyli o ogólnym powstaniu. Będąc razu jednego z obozu pod St. Maria z licznym oddziałem może z kilku set ludzi złożonym do furazowania odkomenderowany, udałem się na wieś pobliskie. W oddziale kilku tylko żołnierzy miało pałasze i pistolety, wszyscy drudzy byli opatrzeni tylko w postronki i worki. W niejakiem oddaleniu od obozu zastałem na polu posieczony owies: kazałem części oddziału zsieść z koni i zabierać go. W tem nadszedł Hiszpan i ganił po co taki owies zabierać, jest we wsi w ziarnie, on mi go wskaże. Nie spodziewając się podstęp, zostawiwszy jedną część żołnierzy przy zbieraniu owsa, maszerowałem z drugą za Hiszpanem. Hiszpan zaprowadził mnie do dużej w si, do której ledwo com się zbliżył, uderzono we dzwony i na ich odgłos i w pobliskich wsiach, równie dzwonić zaczęto. W skutek tego chałasu zbiegło się z wszech stron kilka set różnie ubranego i uzbrojonego ludu; obtaczano mnie ze wszystkich boków i byłem zniewolony spieszenie się cofać. Ścigany, nadszedłem nareszcie za górę, gdzie się drogi rozchodziły. Obrachowałem żołnierzy którzy broń mieli, kazałem się zatrzymać pod górą, zgraję goniącą obejść i tył jej zabrać. Nie miałem więcej tylko 30 w pałasze uzbrojonych lecz żołnierze których byłem zostawił do wiązania owsa, słysząc strzały i chałas, przybiegli mi w pomoc tak, że się

31

50 żołnierzy z pałaszami zebrało i czem kto mógł Hiszpanów rąbał. Szczęśliwieśmy się też tej zgrai nie tylko obronili, aleśmy ze 60 do niewoli zabrali i przed sobą prowadzili. Prowadząc hiszpanów wystrzelił na raz do mnie z pod krzaka owczarz i uciekł, owce zostawiwszy, któreśmy, nie goniąc owczarza, zabrali i razem z Hiszpanami przed sobą pędzili. Do obozu przecież owiec nie doprowadziliśmy, gdyż jeden z kolegów moich kapitan Brocki później radzca stanu w Warszawie, ostrzegł mnie, że marszałek Bessieres będzie się o to bardzo gniewał i mogę być zdegradowany, gdyż zabierać nic nie wolno a z pewnością Hiszpanie mnie oskarżą że im ich rabował. Koledze opowiedziałem zdarzenie jak zaszło a chcąc ujść wszelkich tłumaczeń, kazałem owce zostawić. To co kolega mój przewidział, istotnie się stało, Hiszpanie oskarżyli mnie przed marszałkiem że im owce zrabował. Łatwo mi było z podobnego oskarżenia się usprawiedliwić, które ile sobie przypominam z wielkim zapalem przed marszałkiem skutecznie rozgniewany na Hiszpanów, że nie tylko podstępem mnie chcieli zgładzić ale nawet za me łagodne się z nimi obejście, gdyż gdybym był chciał, mógłbym ich być do jednego porąbać, jeszcze mnie o rabunek skarżyli. Rzeczywiście mimo mej wiedzy głodni żołnierze nie wszystkie owce puścili, lecz kilkanaście zabili i na drzewach pozawieszali, aby je w razie rewizji, której spodziewać się mogli, ukryć. Gdy Bessiers w obozie owiec szukał, nie spodziewając się aby ich nie po ziemi ale po drzewach szukać należało, nie znalazł ani jednej. Dowiedziawszy się później o tej przebiegłości żołnierzy, nie mało się z niej Bessiers naśmiał

32

a myśląc że ja jej byłem sprężyną, kazał mnie po przeglądzie pułku w Bryviesca do siebie zawołać i powiedział do majora naszego pułku D'Autancourth „ce jeune officier c'est un fin merle; imaginez- vous, quand je cherchais des moutons q'il avait amené dans le camp, je n'ai rien trouvé, tandis que les moutons étaient pendus sur les arbres.”

Po pierwszy raz to było, że żołnierze mego szwadronu z nieprzyjacielem się spotkali, pierwszy i drugi bowiem szwadron przed złączeniem się naszym z pułkiem, już miały udział w batalii pod Riosecco, gdzie w lipcu marszałek Bessieres pobił generałów don Joaquín Blake i don Gregorio de la Cuesta.

Utarczka którąśmy teraz z Hiszpanami stoczyli, rzuca światło na charakter kampanii hiszpańskiej: świadczy o zapale Hiszpanów i o nienawiści jaką słusznie wszystkie warstwy ludności przeciw Francuzom jako ich kraju najezdnikom pałali. Służy ona za przykład wszystkim narodom, które nieszczęście spotkało dostania się pod obce jarzmo, którego zrzucenie z pewnością nie jest niepodobnem, skoro naród ujarzmiony duch taki ogarnie jaki ogarnął Hiszpanów, gdzie każdy pojedynczy mieszkaniec uważał się za żołnierza walczącego, i jak mógł z własnego popędu nieprzyjacielowi szkodzić.

Po służbie naszej pałacowej w Marrac dostawszy się do kraju powstańczego, mieliśmy od razu z tyłu przeciwnościami w pochodzie naszym do Somo-Sierry do walczenia.

Ograniczam się na przytoczonych co dopiero okolicznościach; dostateczne one światło rzucają na historią

33

przed somo-sierrską szwadronu naszego, świadcząc, że szwadron nasz kilka miesięcy przed tem wcale nawet duchem żołnierskim nie ogarnięty, nie tylko jeszcze w ogniu nie był ale nawet zwyczajnych obrotów mustry nie umiał, jako też że miał z drugiej strony sposobność, pełniąc służbę przy cesarzu, którego geniusz umiał z każdej danej pory korzystać by do siebie żołnierzy przywiązać, powziąć do niego zaufanie, że nadziei naszych nie zawiedzie i że wkrótce walcząc pod nim, ojczyznę oswobodzoną powitamy. Jego też to osoby czarodziejski wpływ przypatrując się na szarżujących pod Somo-Sierrą nie mało się przyczynił do wykonania tej pamiętnej szarży.

Tak ten to szwadron, nie wyćwiczony w szkołach wojennych i kilka miesięcy przed tem nie umiejący nawet zwyczajnych obrotów mustry i nie znający nie dawno przed tem innych jak drewnianych skałek, wykonał teraz szarżę, której podobną nie tylko żaden naród się poszczycić nie może, ale która palmę zwyciężką wszystkim znanym cudom waleczności odebrała, i na dowód we wszystkich szkołach wojennych przytaczaną bywa, że nie masz przeciwności którejby dzielna kawaleria jak polska pod Somo-Sierrą nie zdołała pokonać.

My tylko Polacy tę jak cud, prawie nie pojętą szarżę mogliśmy wykonać, my też tylko ją teraz pojąć możemy, my których miłość ojczyzny nie tylko na Sierry ale i do nowego świata zapędziła, w nadziei że walcząc pod Napoleonem, uważając go za zesłańca którego nieba nam dla przywrócenia ojczyzny dały, ojczyznę z jarzma wyswobodzimy i na wrogach naszych za ich na nas dokonaną zbrodnią zemścimy się, a światu całemu, który bezkarnie

34

na morderstwo nasze zezwolił, dowód naszej żywotnej siły dany. O ileż zapał nasz musiał tedy być uniesiony, kiedyśmy szarżę tę do tego pod okiem cesarza, tego mniemanego zesłańca nieba i jego orszaku, tuż przy wąwozie na nas przypatrującego się, wykonali. Każdy przejeżdżający koło niego z Polaków pojął, że tu chodzi nie tylko o jego własny honor, nie tylko o honor szwadronu chrześc. ognia pod okiem cesarza odbierającego, nie tylko o honor pułku, ale o honor ojczyzny dla wyjarzmienia której orzeł biały z orłem cesarskim sojusz zawarł.

Ta to miłość ojczyzny nasz naród nad inne cechująca przewodniczyła całej szarży lotem błyskawicy, wśród ogromnego ognia z przodu kartaczowego a z obu stron i z szczytu wąwozu z ręcznej broni ciskanego, wykonanej. Ona była jedyną naszą komendą. W jej to służbie każdy z nas gotów był cudów waleczności dokazywać, by czempredziej świadcząc cesarzowi o sile narodu polskiego, wpoić w niego uszanowanie dla orła białego, w którego imieniu Polacy po wszystkich krańcach świata swoje zwyciężkie sztandary jak tu na Somo-Sierrze zatykali.

Cudowna szarża ta nie tylko cesarza samego zbudowała, ale wywarła swej czarodziejski wpływ na całe wojsko. Każden na widok każdego z naszych porwany entuzjazmem, przystępował do niego z uszanowaniem winszując mu waleczności Polaków. Niczem nie zdawały się być starym grenadierom gwardyi w porównaniu do naszej szarży, okrzyczane cuda waleczności, których świadkami byli. Zdumieli starzy i dumni ci wojownicy, spełniali na widok naszych przy danej sposobności kubki na

35

część chevau-legerów. Nie tylko pojedynczo z osobna naszym oddawano hołd, ale sam cesarz w bulletynie ogłosił, że Polacy wykonali „charge brillante, s'il en fut ja mais.” Od tego też to czasu pułk nasz zawsze na prawem skrzydle starej gwardyi stawał.

Żałuję bardzo, że mi się wprzód nie zdarzyło wzmiankowanego bulletynu odczytać, gdyż nie chcąc w mej korespondencji do Thiersa o niczem wspominać, o czym się naocznie nie przekonałem, musiałem go przemilczeć.

Nie na samym bulletynie cesarz się ograniczył, chcąc czynowi nadzwyczajnemu hołd odpowiedni oddać, kazał pułkowi naszemu 1 grudnia w szyku bojowym stanąć, dobyć szabel zatrzeć un demi-ban i uchyliwszy kapelusz ogłosił pułk za najmężniejszy, salutując go słowami „honneur aux braves des braves.”

Nie mmej go uczcił nazajutrz korpus marszałka Victora, który widząc pułk nasz obok siebie przechodzący, bez żadnego rozkazu się uszykował i trzy razy wykrzyknął „honneur aux braves.”

Takie to hołdy za pojedyncze swe czyny bohaterskie odbierali Polacy, walcząc pod obcemi znaki za kraj swej od cesarza i swych towarzyszków broni. Niestety! uwielbiany od nas bohater, nie pojął mimo tego potęgi orła białego i ani 1809 ani 1812 r. kiedy do tego miał sposobność nie usłuchał głosu Polaków, nie wyswobodził ich ojczyzny a tem samem nie pozwolił się unosić nad ziemią polską swobodnie orłowi polskiemu, któryby go z pewnością swą potęgą był w nieszczęściu ratował i nie dopuścił aby władca ten świata później, jak gdyby za karę, ledwie na skałach znalazł schronienie, gdzieby mógł

36

o swym orle cesarskim tak jak my teraz o naszym tylko rozpamiętywać i wspomnieniami jego żyć.

Przy wspomnianych hołdach orężowi polskiemu oddawanych nie mogłem wprawdzie być obecnym, lecz są one nie zaprzeczenie prawdziwe i każdemu nieomal uczestnikowi kampanii hiszpańskiej 1808 r. znane, nie mogłem przeto o nich zamilczeć.

Wracam się teraz do Buytrago do lazaretu, dokąd jak już wspomniałem Dziewanowskiego i mnie zawieziono, by pisać o Somo-Sierrze nie zapomnieć o ostatnich chwilach kapitana mojego. Kiedy bohater ten nie przeżył sławy którą się okrył i nie był uczestnikiem wawrzynów, w których zdobyciu jem u największy udział się należy, to przynajmniej wspominając o ostatnich chwilach jego, oddajmy mu cześć należną.

Do Buytrago jeszcze po nas przez całą noc i 1 grudnia do południa rannych z pobojozwożem zwożono. Po południu wywieziono nas do wioski, której nazwiska nie pamiętam, gdzie nas po różnych domach opuszczonych od mieszkańców po kilkunastu złożono. Trudno opisać stanu opłakanego, w którym my się tam znajdowaliśmy. Ranni jedni mniej drudzy, więcej złożeni w domach, w których gdyby się byli znajdowali mieszkańcy, nie jedenby był litością zbudzony, w gorączce leżącym do gaszenia pragnienia przynajmniej wody podał i chociaż garść słomy pod niego podrzucił. Tam przecież nikogo oprócz le service d'ambulance nie było. Dozorcy zaś sami opici zrabowaniem winem na gołym astrychu nas bez litościłożyli, materace bowiem w ambulansach się znajdujące nie starczyły dla wszystkich. Dziewanowski i ja byliśmy

37

przynajmniej tak szczęśliwi, że nas na jednym materacu złożono i jedną derą przykryto. Dziewanowski miał lewe ramię strzaskane i już był bez prawej nogi, którą mu zaraz na pobojozwożu pod kolano odjęto. Bardzo był słaby, cierpiał wiele na bóle w ramieniu. W nocy wnieśli do izby, w którejśmy leżeli brassero to jest wielką miedzianą misę czyli garę z węglami które wprzód na powietrzu wypalone służą do ogrzania izby lub komina. Nasi gardes malades nie znający takich gar wsypali w owe brassero węgli, i jeszcze ich nie wypaliwszy, do pokoju wnieśli. Gdyby nie był nadszedł jeden z chirurgów, któren z największym chałasem wpadł na dozorców i brassero wyrzucił, bylibyśmy się dostali z rąk lekarzy w ręce grobarzy i brassero byłoby dokończyło, czego jeszcze grad kul w szarży nie dokonał. Nazajutrz 2 grudnia przewieziono nas do Chamartin, gdzie się znajdowała głów na kwatery i dokąd cesarz przybył. Tutaj mieliśmy większą wygodę: było kilka obszernych budynków dokąd z Madrytu przywieziono materace i inne potrzeby lazaretowe. W Chamartin poznało mnie kilku z służby cesarskiej, którzy mnie jeszcze w Marrac widzieli: ci na widok mój pomoc mi swą ofiarowali, a dowiedziawszy się że pomimo ran głodny był, przynieśli wina i innego przekąsku, którem się z Dziewanowskim równie głodnym, aczkolwiek bardzo cierpiącym, podzieliłem. Wkrótce po złożeniu nas w jednym z tych domów urządzonych na lazarety, przybył do nas marszałek Du Roc, za którym paż cesarza niósł pełną tacę napoleonów. Marszałek oświadczył nam, że cesarz przewidując potrzeby nasze przysłał nam zasiłek pieniężny, abyśmy mogli w pierwszej

38

chwili takowym zaradzić. Każden z oficerów dostał po 10 czy 8, żołnierz i podoficer po 3 napoleony. Z początku pomimo tego żeśmy byli ze wszystkiego ogołoceni, wachaliśmy się pieniędzy ofiarowanych przyjąć, mianowicie Dziewanowskiemu zdawało się to dla nas jako Polaków być ubliżającym. Wkrótce jednakowoż przekonał nas Du Roc, że to tylko jest nadzwyczajny dowód pamięci cesarza o pierwszych potrzebach bohaterów szarży, która go nad wszelkie wyrażenie zbudowała. Nowy to dowód o ile cesarza szarża nasza uniosła, kiedy nietylko cześć pułkowi oddał, ale i o nas w lazarecie złożonych nie zapomniał. Dnia 3 grudnia przewieziono nas do Madrytu i w klasztorze St. Maria d'Attocha złożono. Tu w lazarecie dobrze urządzonym powierzono nas samemu doktorowi cesarza sławnemu generałowi Larrey, którego cesarz wielce poważał i o nim w swym testamencie na Śt. Helenie nie zapomnił gdyż mu sto tysięcy franków zapisał i nadmienił że jest najcnotliwszym członkiem, jakiego kiedykolwiek poznał.

Leżałem tam znowu obok kapitana Dziewanowskiego. Każden z nas miał materac i przykrycie. Obaj byliśmy bardzo słabi. Dziewanowski przecież więcej jeszcze jak ja był cierpiącym. Po przywiezieniu nas 3go do Madrytu, Larrey sam nas obydwóch opatrzył. Dziewanowskiemu chciał był jeszcze tego samego dnia rękę odjąć, lecz że rana była w samej łopatce, oświadczył mu, że ponieważ musi być z podróży zmęczony operacją do 4go odłożyć, mnie zaś głowę ogolić kazał, rany pościagał, dziury od bagnatów po sondowaniu porozrywał, opatrzył i tak nas zostawił, rozkazując

39

aby nam nic więcej jak bullion rano i na wieczór dawano. Potrzebna ta dyeta lecz na żołądek zdrów, nie była mi bardzo pożądaną, nie mając już od pięciu dni prawie nic oprócz owego przekąsku w Chamartin w ustach. Całą noc Dziewanowski bardzo wiele cierpiał, kilka razy wołałem do niego dozorczy, aż nareszcie w bólach na mych rękach skonał. Leżąc obok niego z memi jedenastu ranami ubolewałem najwięcej nad tem, że nie potrafiłem mu być w niczem pomocnym i co chwila tylko tak jak mogłem na jego materac się przechylałem. Śmierć Dziewanowskiego, który mnie bardzo był polubił, wielką boleścią mnie przejęła.

Uważałem go jak mego drugiego ojca, prawdziwie po ojcowsku on się też mną opiekował, radami i przykładem w życie wojskowe mnie wprowadzając. Cześć niech będzie mężowi, który mężnie walcząc, prawdziwie jako bohater skonał. Nigdy on nad losem swym w ostatnich chwilach nie ubolewał ale przeciwnie cieszył się że się Polacy sławą okryli i że czyn ich ogólnie uwielbiano; cieszył się nadzieją, że tak walcząc w krótko ojczyznę oswobodzimy i wolną powitamy. Niestety! nadzieje jego i z nim całego narodu nie zostały skutkiem pożądanym uwieńczone.

Krwia polską po wszystkich prawie krańcach świata przelaną nie oswobodziliśmy ojczyzny. Któż nas może przecież za to winować, żeśmy powinność naszą pełnili w nadziei, że z walki nowego światającego świata ze starym świętość naszej sprawy uznana zostanie, że niszcząc starą budowę społeczeństwa, zniszczemy i zasady na których spoczywała, a które bezkarnie na morderstwo nasze zezwoliły. Ten to tylko a nie inny był powód naszego

40

zapału w walce z tylu narodami jak n. p. Hiszpanami, którzy mimo, że w świętej sprawie, bo w sprawie swej samodzielności walczyli, zawsze bronili zasad na których ich państwo spoczywało a przecież tylko ze zniszczenia tej podstawy starego świata we wszystkich państwach europejskich mogliśmy się oswobodzenia naszej ojczyzny spodziewać. Jakżeś by bowiem mógł być nowy porządek bez wskrzeszenia Polski w państwach europejskich na podstawie moralności wprowadzony? Kto nas dla tego chce słusznie osądzić, niechaj zważy, że wszystkie te narody na morderstwo na nas wykonane, obojętnie zezwoliły, a niechaj nas nie sądzi jak mordercy nasi, którzy nie chcąc hańby którą się okryli przyznać, powodu też złączenia się naszego z cesarzem walczącym nieomal przeciw całej Europie i nowy w niej porządek zaprowadzającym, pojąć nie chcą.

Po śmierci Dziekanowskiego smutkiem i żalnością będąc przejęty, pobyt mój w lazarecie coraz nieznosniejszy mi się wydawał. Wskutek tego usposobienia stan mego zdrowia się pogorszył i już w lazarecie wytrzymać nie mogłem, zwłaszcza gdy jednemu z rannych chirurg jakiś zamiast zgruchotanej, zdrową nogę ale krwią od zgruchotanej zbroczoną, urznął. Gdy tedy Larrey 10go do mnie tak usposobionego przybył i w skutek pogorszenia stanu ran, operacją głowy na 11go rozporządził, obawiając się nadto aby mi głowy nie trepanował, nie chciałem się takowej poddać; opuściłem lazaret, a otwarcie mówiąc, uciekłem i do Madrytu się zawlokłem. Tu szczęśliwym trafem spotkałem kapitana grenadierów Laplace, którego byłem poznał w Bayonnie.

41

Był on teraz adjutantem Sebastyaniego komendanta Madrytu. Opowiedziałem mu moją biedę a on mi po starej znajomości wyrobił kwaterę w Madrycie u markizy Villa Franca. W domu u rodziców nie mogłem być doznać lepszej wygody jak u niej. Doktor domowy mnie opatrywał, niczego nie szczędzono, jednym słowem prawdziwie macierzyńskie i przyjacielskie miano o mnie staranie. Jej to mam do podziękowania, że mi głowy ani operowano ani trepanowano i że po czterech tygodniach już o tyle moje rany były zagojone, żem mógł być wychodzić.

Chociaż ostatecznie w Hiszpanii nie doktor Larrey mnie wyleczył, to jednakowoż wielce mu mam do zawdzięczenia, zwłaszcza że ucieczką z lazaretu w Hiszpanii nie na zawsze z pod jego rąk się wydostałem.

Kilka lat bowiem później roku 1813 los mnie znów w jego ręce i jego opiekę powierzył. W roku tym będąc od cesarza samego z Düben z misją nader ważną do króla neapolitańskiego do Lipska wysłany, aby z wszystkimi połączonymi siłami na Bernadotego maszerował i wstrzymywał go od połączenia się z Schwarzenbergiem, mając zalecony nadzwyczajny pospiech tak dalece, że mi cesarz w przypadku zajęcia mego konia, dwa ze swej stajni obiecał, stałem się misją od samego cesarza mi udzieloną jak najprędzej wykonać i konia mego pędząc ciąglą rozpuszczonym galopem tak dalece zmęczyłem, że tenże po przybyciu mem do Lipska, ledwie com z niego zsiadł, padł i już więcej się nie podniósł. Ponieważ zaś król Neapolu już o połączeniu się Bernadotego z Schwarzenbergiem, kilka godzin

42

nawet przed moim od cesarza odjazdem był się dowiedział, żądał przeto, nie mogąc się wydziwić pospiechowi z jakim misją wykonałem, zrobiwszy siedm mil w 3½ godziny, abym natychmiast z powrotem smutną wiadomość o połączeniu się Bernadotego z Schwarzenbergiem cesarzowi zawiadził, ofiarując mi konia z swej stajni. W nadziei że koń króla neapolitańskiego równie tyle wytrzyma co mój, równie z natężonym galopem z powrotem się na nim puściłem. Koń przecież ten wkrótce po mem ruszeniu padł i ja spadając obojczyk wybiłem, któren mi generał Dr. Larrey wprawił w Lipsku, dokąd mnie cesarską kareta zawieziono; krew mi puścił bańkami i pijawkami piersi obłożył, i tak w Niemczech kilka lat później dostałem się w ręce tego samego doktora z których w Hiszpanii uciekłem, by za powtórne jego o mnie staranie wdzięczną o nim pamięć zachować.

W czasie mej reconvalescencji u markizy Villa Franca, wyszedłszy razu jednego na ulicę spostrzegam kogoś na moim koniu kasztanowatym jadącego, nie mogąc jednak jeźdźca poznać, gdyż jeszcze nie mogłem głowy podnieść, wołam na niego: „stój to mój koń,” na co jeździec: „zkaż to ma być twej koń, to koń po Niegolewskim.” Ja mu na to zdziwiony: „to mój koń, przecież ja Niegolewski!” jeździec nie chce jednak wcale zważać, tylko odpowie: „przecież Niegolewski zginął.” Teraz mu się dopiero kazałem sobie przypatrzeć i poznaję w nim Ambrożego Skarżyńskiego, ówczesnego porucznika 1go szwadronu a późniejszego generała. On mnie też poznał i cieszył się niespodziewanej a szczęśliwej chwili że mógł mnie żyjącemu konia oddać.

43

W kilka dni potem trafiłem na ulicy pułkownika Wierzbńskiego od którego się dowiedziałem, że pułk nasz poszedł z cesarzem przez Guadaramę do Benawenty w pogoń za Anglikami, lecz że w Caramanchel jest szef szwadronu Koziedulski ze wszystkimi słabymi i chorymi oficerami pułku naszego.

Po zupełnem wyzdrowieniu i przyjacielskiem pożegnaniu się w Madrycie z markizą Villa Franca udałem się do Caramanchel ze służącym Pawłem, paziem nazwanym, którego po śmierci Krzyżanowskiego przyjąłem. Dostał on mi się po nim w spuściznie i jego koń, kapelusznikiem zwany a w Poznaniu od jakiegoś kapelusznika kupiony. W tej mej do Caramanchel podróży z spuścizną po Krzyżanowskim, zdarzył mi się dziwny wypadek. Paż co chwila stawa z koniem który mu się zrywa i skaka. Wołam na niego co wyrabia, czemu nie jedzie? na co on w przestrachu: „poruczniku, nie widzi pan pana mego?

oto koło pana jedzie.” Ja naturalnie nic nie widziałem; na jego umysł przecież siła imaginacyjna tak dalece wpłynęła, że mimo wszelkich perswazyi był przekonany, że Krzyżanowskiego widział a strach go tak dalece ogarnął, że kiedyśmy już przyjechali do Caramanchel przed kwaterę Koziedulskiego a oddałem mu konia mego do trzymania: nie mógł koni utrzymać i te z nim galopem przez ulicę puściły się i w mniemaniu że Krzyżanowskiego widział, tem bardziej go utwierdziły.

W Caramanchel zastałem Koziedulskiego szefa szwadronu, kapitanów Trzcńskiego, Piotra

44

Krasińskiego, porucznika Jordana i wielu innych oficerów, których sobie już nie przypominam.

W końcu marca, gdy już wszyscy byli przyszli do siebie, udaliśmy się przez Guadaramę, Segovią, Vitorią, Chantilly nad Dunaj na kampanię austriacką. Żałuję bardzo żeśmy z Caramanchel nie szli na Somo-Sierrę gdyż w ten czas byłbym się mógł z zimną krwią przypatrzeć całej pozycji i wąwóz ów sławny, który tylko raz jedyny zagrzany zapalem boju wśród morderczego ognia widziałem, byłbym teraz mógł ze wszystkimi szczegółami opisać.

Drogą tą którąśmy szli mógł i cesarz do Madrytu iść. Kilka bowiem tylko marszów na lewo wąwozu Somo-Sierra na drodze ku Madrytowi Guadarama leży, lecz byłby po za sobą obóz hiszpański musiał zostawić, czego przecież w kraju zrewoltowanym uczynić nie mógł a przedewszystkiem każda chwila była mu drogą, i dla tego nie zważał na żadne przeszkody. Nic mu nie było niepodobnem, byleby się tylko dostać jak najprędzej do stolicy Hiszpanów i tam powagę swoją przywrócić i brata Józefa powtórnie na tronie osadzić, który nie widząc się na tymże umocowanym i nie będąc nadto od marszałków i generałów francuzkich słuchanym, widział się być przymuszonym, Madryt po kapitulacji generała Dupont pod Bajlen, opuścić.

Po kapitulacji bowiem pod Bajlen w skutek której cała armia andalużka pod dowództwem generała Duponta, który nie tylko swej cały korpus ale i generała Vedel który jemu z wielkiem wojskiem na posilek był przysłany pod tak dalece haniebnymi Hiszpanom pod

45

dowództwem Castanosa się poddał, iż nie tylko Francuzi broń złożyli ale nawet zezwolili na rewizyą swych tornistrów, całą Hiszpanią entuzjazm i zapal do wypędzenia Francuzów z kraju ogarnął, zwłaszcza że już i tak Hiszpanie haniebnem obchodzeniem się Napoleona z ich familią królewską w Bayonnie, w swej dumie upokorzeni i do ostatniego rozjątżenia doprowadzeni byli. Teraz dopiero widząc że armia francuzka nie jest nie do zwyciężenia, cały kraj jak żeby w jeden obóz powstańców się zamienił i tylko na pozór Hiszpania była pod wpływem cesarza. Entuzjazm przecież i w samym Madrycie, gdzie brat jego na tronie siedział, tak widocznie się okazywał, że Józef wkrótce po swem osadzeniu się na nim, widząc się od służby nawet swojej z Hiszpanów złożonej opuszczony, już z obawy nie o tron ale o życie swoje, Madryt opuścił. Tę to klęskę kapitulacją pod Bajlen orężowi francuzkiemu u zadaną a w annałach nie tylko cesarza ale od początku samej rewolucyi niesłychaną, chciał cesarz jak najprędzej zmasać i na żadne przeszkody nie zważając, najprostszą drogą do Madrytu dążył, by jak najprędzej sławę oręża francuzkiego zrehabilitować. Przeciwno przyjmując kapitulacją generałom był on tak zagniewany, że kiedy ci na Kadyx do Francyi się wrócili, w pierwszym rozjątżeniu chciał ich kazać rozstrzelać, przecież pod sąd oddani, byli tylko z wojska usunięci. I tak w Hiszpanii Dupont, który parę lat przed tem świetnymi wwrzynami w kampanii niemieckiej w Prusach się okrył, znalazł grób dla swej sławy i jest na przyszłość generałom przykładem, że w każdym razie lepiej zginąć z orężem w ręku jak haniebnie się poddać. Nie

46

Duponta samego zresztą była wina, że chory, ranny, wojska przy 40 stopniach ciepła do przeboju wśród Hiszpanów ze wszech stron go otaczających nie spowodowały. Więcej bowiem przewinił sam cesarz, który mało zważając na miłość narodu każdego, do samodzielności i wolności, myślał że kraj cały podbił, osadzając na tronie z którego Burbunów strącił, brata swego Józefa. Nie zważając na to, że tron tylko wtenczas mocny, kiedy król z narodem jedno ciało i jedną duszę stanowią: ograniczył on się na tem, że kilka oddziałów wojska swego na poparcie brata na tronie w Hiszpanii pozostawił. Teraz to dopiero palając żądzą już to przywrócenia orężowi francuzkiemu sławy, już to by brata swego na tronie osadzonego utwierdzić, wyruszył sam na czele licznej armii do Hiszpanii. Tej to armii szwadron nasz przez wzięcie wąwozu drogę do Madrytu utorował.

W pochodzie z Hiszpanii pod Wiedeń zdążyliśmy do pułku dopiero po batalii pod Wagram z wielkim żalem żeśmy w niej udziału nie mieli, gdyż nasz pułk wraz z pułkiem francuzkim chasseurów konnych pod dowództwem generała Krasińskiego 45 armat zabrał, 4 pułki kawaleryi a między niemi pułk ułanów Schwarzenberga prawie zniósł.

Taka to jest historia chevau-legerów polskich, jedno oni pole bitwy opuszczali by na drugiem nowe orężowi polskiemu wawrzyny zdobywać. Thiers przecież, który śmiał nam Somo-Sierrę wyrzeć, nie wie albo raczej nie chce wiedzieć o tych nowych pod Wagram przez pułk nasz zdobytych wawrzynach i woli zamilczeć o trofeach armii francuzkiej zdobytych, by tylko nie być przymuszonym

47

czi należytej orężowi polskiemu oddać. Tak przeniósłszy szwadron z Somo-Sierry do Wagram, gdzie sobie nawet przypominam Wasilewskiego dokazującego na tym samym gniadym koniu, któremu pod Somo-Sierra kula trzy przednie zęby wyrwała, kończę moje wspomnienie o pamiętnej tej szarzy.

*

*

*

Spodzielam się mój szanowny kolego że mnie o skąpstwo żądanych odemnie wiadomości nie posądzisz. Przeniósłszy się w lata młodości a do tego do Somo-Sierry prawie nie podobna pióra na wodzy utrzymać. Wszystkie wspomnienia naraz się żywo przedstawiają, każde drogie jest mój pamięci, trudno z zimną krwią w pośród nich przebywać. Jakież też to są wspomnienia? muszą one się prawie teraz snem na jawie wydawać. A przecież ich nikt jeszcze wiernie nie opisał.

Któreż też to pióro ów lot błyskawicy naszego szwadronu, który wśród gradu kul jednym pędem kanonierów rąbał, armaty zabierał i wąwóz zdobył, opisać potrafi? Któż wreszcie ciasny i kręty ów wąwóz już nie obwarowany ale cały w jedną maszynę

piekielną obrócony, wystawić zdoła? Któż jeżeli nie Ty szanowny kolego, który w młodości orężem a teraz piórem władasz, który nadto 30 listopada 1808 r. świadkiem byłeś nieśmiertelnego czynu i masz go przekazać historyi? Polskie też to pióro tylko może wiernie sławę polskiego oręża oddać. Żaden z pewnością inny naród nie pojmując miłości ojczyzny,

48

która nas na owe skały zapędziła, nie pojmie tej cudownej szarży i z obawy by prawdziwe jej oddanie bajeczne się nie wydawało, ujmie heroizmowi szwadronu by wzięcie wawożu bardziej pojęciom ludzkim przystępne uczynić, tak jak Thiers, który nie tylko nie mógł pojąć aby szwadron mimo tego morderczego ognia się nie miał nie zatrzymać, ale nawet wzięcie jego licznym szwadronom przypisał.

Co się ostatniej Twej wzmianki o obrazach tej szarży tyczy, to Lejeuna nie znam i o nim nic powiedzieć nie umiem. Verneta posiadam i zgadzam się z Tobą że nie jest historycznym, gdyż nawet rzecz po batalii, którą oczywiście ma przedstawiać, nie historycznie oddaje, wystawiając na nim osoby, które w szarży udziału nie miały, jako głównie figurujące. Grupa złożona z D'Autencourta, Krasieńskiego, Koziedulskiego i jakiegoś jeszcze oficera zupełnie nie stosowna. Koziedulski wprowadził jedyną, którą szarżę rozpoczął i tylko z przyczyny zabitego konia się cofnął, ma prawo do figurowania na obrazie, batalią pod Somo-Sierra wystawiającym. Krasieński pułkownik pułku naszego i gros major D'Autencourt Francuz, przecież żadnego udziału w szarży nie mieli. Czwarty zaś obok nich, mający jak się dorożumiewać wypada przedstawiać oficera szwadronu 3go, zupełnie nie odpowiada prawdziwej historycznej, gdyż jak już powiedziałem wszyscy oficerowie którzy byli w szarży czynni albo poginęli, albo leżeli w lazaretach. Żaden przynajmniej po batalii nie mógł w paradyzie występować. Równie nie historyczne jest wystawienie oficerów z kitkami na czapkach, a tem samem i Koziedulskiego

49

z złamaną kitką, w dniu bowiem tym mglistym mieliśmy czapki ceratami pokryte.

Oprócz Verneta posiadam jeszcze rycinę obrazu malowanego przez Belangé, ten ostatni jest historycznym i przedstawia rzecz w prawdziwym świetle. Na wawóz pod górę pędzą chevau-legerzy czwórką, kolumną marszową; na wawozie i na skałach widać pozabijane konie i poległych chevau-legerów. Tuż przy wawozie stoi cesarz na koniu, a w jego bliskości Bessiers. Obydwaj zadumani z wytężonym wzrokiem na skały, szarżującym się przypatrują. Po za cesarzem widać liczne wojska francuskie. Nie prawdziwie przecież wystawia nas z lancami, kiedy my takowe dopiero rok później po kampanii austriackiej w Paryżu dostali, dokąd my z Chantilly na parady przybyli. Na parady tej każdy oficer dostał książeczkę z instrukcją po francusku mustry z lancami i za tydzień już my się z nimi na parady popisywali. Przyznać trzeba, że malarz, pominawszy małą tę niehistoryczność, rzecz szczęśliwie uchwycił i oddał. Po skałach i wśród szarżujących leżący i spadający chevaulegerzy i konie, świadczą o morderczym ogniu który pędzących przecież nie wstrzymuje. Armia francuska opodal stojąca, znaczenie i ważność szarży przedstawia; nie mogąc bowiem tylko tą jedną drogą przez góry do Madrytu się dostać, oczekuje na utorowanie tej drogi przez szarżujących chevau-legerów. Przede wszystkim historyczne i prawdziwe miejsce zajmuje cesarz tuż przy wawozie na szarżujących się przypatrujący. Z pewnością jego przytomność wiele w płynęła na świetne wykonanie szarży.

50

Tak nawet o obrazach przez ciebie wzmiankowanych nie zapomniawszy, nie pozostaje mi teraz nic więcej jak z głębi serca Ci przedsięwzięcia Twego napisania pamiętników powinszować. Jest to z pewnością najpiękniejsze powołanie podać w dojrzałym wieku potomności czyny których nie tylko się świadkiem w młodości było, ale w których jak Ty, czynny brało się udział. Oby Ci Bóg w Twym przedsięwzięciu dodał wytrwałości i pozwolił aby pamiętka naszych wysiłków i poświęceń bez granic ożywiającym była duchem dla przyszłych pokoleń a nie zaginęła, na które to niebezpieczeństwo opisaniami Francuzów jest wystawiona. Oni to w swych książkach, nie wiem czy z zazdrości by wawrzynów z nami nie dzielić, czy ze wstydu że ich cesarz nie odpowiedział zaufaniu przez Polaków w nim pokładanemu, starają się nie tylko czyny nasze w niepamięć puszczać, ale nawet śmieją oręża naszego blask zaciemniać.

Tak to główny historyk konsulatów i cesarstwa śmie w księdze XXXV, (Wagram) opisując kampanię 1809 roku temi słowami się o nas odezwać: „Le prince Joseph Poniatowski, ce héros long-temps endormi dans la molesse, et à l'exemple de beaucoup de ses compatriotes, retenu inactif aux pieds des belles femmes de son pays, venait de se reveiller au bruit des armes françaises, et avait embrasse, comme on s'en souvient, la cause de la France, qu'il croyait avec raison celle de la Pologne, si la Pologne pourrait renaître.”

Śmie historyk ten mimo naszej ciągłej walki z wrogami, którzy kraj nasz rozszarpali, mimo tylu świetnych czynów waleczności w służbie francuskiej dokonanych,

51

z którą orlą naszego połączyliśmy, w przekonaniu że walczy w imieniu nowego społeczeństwa a tem samem niszczy zasady które nas zamordowały, zarzucać nam gnuśność i zniewieściałość; śmie on powątpiewać o możliwości odrodzenia się Polski. I czyni to właśnie opisując kampanię 1809 r. w której Poniatowski z małą garstką Polaków bez wszelkiej pomocy Francuzów, cudów waleczności naprzeciw wiele liczniejszemu nieprzyjacielowi dokazywał. W tym to roku książę Józef z swemi 9.000 Polaków nie tylko bronił granic nowo utworzonego księstwa warszawskiego ale zdobył on tą małą garstką całą Galicyę i tak bez pomocy Francuzów odebrał jednemu z przywłaszczycieli Polski łup jego zbrodniczy, a genialnemi swemi planami z walecznością bohatera wykonanemi, trzymał arcyksięcia Ferdynanda z jego 38,000 Austriaków tak dalece w ciągłych korbach, że nie mógł iść w pomoc arcyksięciu Karolowi pod Wagram przeciw Napoleonowi. Kto wie jakiby był wypadek batalii tej, której losy i tak się już bardzo ważyły, gdyby tam byli walczyli i owe przez księcia Józefa wstrzymane 38.000 arcyksięcia Ferdynanda. Z pewnością byłaby batalia pod Wagram, którą Thiers za tak stanowczą w historii cesarstwa uważa, iż swą księgę XXXV opisując kampanię 1809 r. uczcił jej godłem, inne skutki dla cesarza za sobą pociągnęła. Pomimo tego znacznego wpływu księcia Józefa na los batalii pod Wagram i całą kampanię austriacką, pomimo że i pod samem Wagram oręż polski sławę się okrył, śmiało Thiers w swej księdze Wagram przytoczonemi słowami o Polakach się odezwać, waleczność zaś, którą się Polacy okryli w tej

52

samej księdze Wagram edukacji francuskiej przypisując, mówiąc że to byli ci sami Polacy, którzy początek edukacji wojskowej w szkole francuskiej odebrali. Zaiste nie wiedzieć, czy chciał historyk ten usprawiedliwić, że cesarz nie tylko o księciu Józefie i o księstwie przez siebie utworzonym zapomniał i bez wszelkiej pomocy zostawił, ale że nie przyłączył kraju Galicji przez księcia Józefa tylko Polakami zdobytego, do księstwa warszawskiego, lub też czy zapomniał historyk ten o tym, że Polacy już przed jego edukacją francuską walczyć umieli, że ich wodzowie państwa od upadku ratowali, że ich Żółkiewski, Gosiewski z małą garstką tam dotąd zwyciężko dotarł, gdzie Napoleon swój grób znalazł. Nie szkoła francuska ale żądza oswobodzenia ojczyzny była matką waleczności Polaków. Z więcej przecież jak czołem wytartem śmiał historyk ten połączenie się orła naszego z orłem cesarskim, tylko zachciance cesarza mienia w gwardyi swojej ludzi rozmaitych narodów i strojów, przypisywać. I miał bezczelność, nawet nas na równi z Mamelukami stawiać, opisując wzięcie wawozu pod Somo-Sierra.

Obyś przeto szanowny kolego pisząc Twe pamiętniki oddał nie tylko należną cześć orężowi polskiemu ale i Francuzom fałszującym historią naszą nie dozwolił niewdzięczności ich ku nam usprawiedliwiać i z historii naszej świetnej bajki układać. Rzeczywiście bowiem Thiers hołdując pojmowaniu znaczenia historii przez swego współrodaka Voltaire'a utrzymującego, że historią jest bajką którą każdy podług swych widoków politycznych układa, wystawia nasz naród jako niedołączny i nie mogący odzyskać samodzielności, by i cesarza usprawiedliwić z jego nie wywiązania się z zaufania w nim przez Polaków pokładanego, i zniszczyć sympatyą ludu francuskiego dla Polski.
